

teatr

ANDRZEJ
WRÓBLEWSKI

PRZECIWIW KOMU CZY O CO?

Pół życia spędza współczesny człowiek na pracy. Nie tylko u nas. Wszędzie. Chyba że gdzieś manna pada z nieba. Ale wtedy pojawiają się inne kłopoty.

Mówiąc o współczesnym człowieku mamy na myśli człowieka przeciętnego, statystycznego. Nie Rockefellera czy Rotschilda, bo oni mogliby powiedzieć, że całe życie upływa im na pracy, nie polowa. Więc o pracobiorcy, nie o pracodawcy. Po prostu dlatego, że jest nas więcej.

Życie nasze jest tak zorganizowane, że nie sposób wydzielić w nim sferę prywatną i całkowicie odciąć się od dominującego wpływu wykonywanej pracy. Jeśli traktować nasze zajęcia w płaszczyźnie psychologicznej, można powiedzieć, że człowiek spełnia się w pracy, szuka w niej swojego potwierdzenia. Znajduje albo nie, to inna sprawa i na tym polegała w dużej mierze wędrówka z miejsca na miejsce. Bo satysfakcja z wykonywanej pracy jest człowiekowi potrzebna, żeby się czuł człowiekiem. Praca bowiem nie jest tylko sposobem zdobywania środków na utrzymanie i opędzenie wydatków. Sprawy bytowe, jakkolwiek ważne nie determinują sensu życia. Podstawowa zasada dialektyki — byt kształtuje świadomość — nie wyczerpuje problemu: pobudzona świadomość nie zatrzymuje się na szczeblu egzystencji, sięga dalej, szerzej, głębiej.

Ale w sztuce tego nie widać. Przynajmniej dotychczas nie powstało dzieło, którego bohater — człowiek pracy — zostałby ukazany z całym bagażem konfliktów, wynikających z takiej właśnie postawy. Lansowany w latach pięćdziesiątych model dramaturgii nie spełnił nadziei, odstawał od powszechnej świadomości. Czy wy-

starczy jednak wyństwo, z jaką potraktowaliśmy produkcyjniaki, by uznać, że mamy sprawę z gwoździ?

Myśleć, że nie. Niedawno pojawił się na naszych scenach utwór, który nie rozplomił wprawdzie dyskusji, ale dał co nieco do myślenia. I to raczej na temat widowni, niż samej sztuki czy scenariusza. Bo rzecz znamienna „Człowieka z nikąd”. Dworcieckija chętnie oglądają zarówno robotnicy, majstrowie, jak i dyrektorzy, a więc publiczność złożona w większości z tych, do których dacieśmy chcieliśmy trafić „Tysiącem walecznych”, czy „Zapora” dwadzieścia lat temu.

Sztuka Dworcieckija została już wystawiona w kilku teatrach w Polsce. Rozpoczął warszawski Teatr Dramatyczny, za co mu chwaliła, a ostatnio zaprezentował ją w innym opracowaniu Józef Gruda na scenie szczecińskiej. Obserwacja kilku przedstawień nasuwa pewne uwagi natury ogólnej.

Inscenizacja Grudy jest polemiką z warszawskim przedstawieniem Holoubka. W przedstawieniu do Warszawy Gruda uważa, że „kronika” (tak określił autor swój scenariusz) nie nadaje się na przedstawienie odcinające się od widowni. Nie chce operować terminami „stary teatr”, a więc imitacja życia, teatr iluzyjny, ale one się narzucają w odniesieniu do warszawskiego przedstawienia „Człowieka z nikąd”. Gruda wyszedł z założenia, że to, co się dzieje na scenie jest tylko ekspozycją tego, co się dzieje w ogóle, a więc i na widowni, a widzowie są niejako uczestnikami dyskusji, toczącej się wokół wydarzeń, ukazanych na scenie. Pojawia się tam bowiem szaleniec, domagający się zmian. Nie w sposobie wytapiania stali, czy frezowania kół zębatych. Młody entuzjasta uważa, że dotychczasowe metody kierowania produkcją do niczego dobrego nie prowadzą, że są oszustwem, i to podwójnym: wobec góry, ale przede wszystkim wobec dołów, wobec robotników. Filantropia uprawiana przez dotychczasowe kierownictwo zakładu wobec robotników rzekome w trosce o ich interes jest wyrazem pogardy do tych ludzi, bo uważa ich za niedojrzałych do konfrontacji prawdy. Niewykonalnie planu pociąga za sobą obcięcie premii. Idą więc kłamliwe meandry o realizacji planu i... wszyscy mają płasek w gębie.

Dworcieckij dotknął więc nie sprawy produkcji; nie wiemy co zakład produkuje, w jakim celu, komu ma to służyć. To nas nie interesuje. Ale czujemy się zaangażowani w dyskusję na temat reperkusji moralnych całego procesu, moralnych postaw ludzi, wplątanych w łańcuch kłamstw, deformacji, rozdętych planów, które wszak jako nakazy warunkują egzystencję ludzi i fałszywych sprawozdań, które tę sztuczną konstrukcję, tę „znowe” podtrzymują. Ci ludzie z kierownictwa nie są — jak ani zdradzieccy. — Są bezwolni, otepiali, słabi, tchórzliwi. Stąd ich lęk przed młodym szaleniec i jego reformami.

Przysłuchiwałem się dyskusji po przedstawieniu. Była jakby dalszym ciągiem tego, co się przed chwilą działo na scenie. Raźniej i łatwiej było wypowiadać się na tematy, poruszone w „Człowieku z nikąd”, bo bohaterzy głośno wyrazili te myśli i słowa, które nurtują każdego na widowni.

Bo na scenie mówi się o „kłamliwej informacji”, o „niedotrzymanej obietnicy”, o tym, że „lepiej powiedzieć po męsku «nie mogę, nie zdąże», niż wprowadzić w błąd”. Mówi się, że „łatwość nawiązywania bezpośrednich dobrych stosunków między ludźmi jest rzeczą cenną, ale może wywołać tyle samo złego, co dobrego, jeśli owe dobre stosunki mają ukryć trudną prawdę i nie skutki”.

Nie są to żadne odkrycia. Przeważnie — prawdy elementarne. Ale wypowiedziane ze sceny nabierają innej wartości, innej rangi: stają się prawdami „uwniożonymi”. Wiem, to niewesołe, co piszę. Ale lepsze niż głuche milczenie. Najistotniejszą bowiem wartością przedstawienia wydaje się to, że ze sceny słyszy się głośno wypowiedziane myśli, sformułowania i stwierdzenia, których — z oportunistycznym, zmęczenia, czy lenistwa — widza już nie mówi. Scena postużyła za subtytuł, który ma szansa ożywić poczucie odpowiedzialności i godności człowieka pracy: nie „przeciw komu?”, lecz „o co?”

Nie do zlekceważenia wszędzie taki drobny fakt: jeden z dyrektorów dużych przedsiębiorstw szczecińskich po premierowej dyskusji wyznał, że był pierwszy raz w teatrze i nabrał ochoty, żeby stale przychodzić. Na dowód zakupił spektakl dla swojej załogi.